Nr. 29. Rok I.



NAUKOWY, LITERACKI I ARTYSTYCZNY.

Cena prenumeraty: kwartalnie w miejscu 15 sbr., na prowincji 18 sbr. 9 fen., w Krakowie i Lwowie 1 złtr. 20 c., w Galicji i w innych krajach austrjackich 1 złr. 40 c.

Poznań, 15 Lipca 1871.

Redakcja przy ulicy Berlińskiéj Nr. 14. Ajencje: Lwów: Milikowski, Gubrynowicz i Schmidt. Kraków: Friedlein, Józef Czech.

Filozofja natury

przez

Henryka Levittoux,

krytycznie przedstawiona

przez

Karola Libelta.

(Dokończenie.)

n) Zakończenie.

Przy końcu dzieła pana Levittoux, znajdujemy jeszcze rozdział: o teorji Darwina i słowo o Talesie, o Leucyppie, o Arystotelesie i o pracy pana Chałupczyńskiego pod tytułem: „Pomysły do wiedzy dziejów życia świata.“ Cały ten, dość obszerny rozdział jest właściwie odpowiedzią na zarzuty krytyków, którzy utrzymywali, że autor myśli z przytoczonych filozofów pobrał i z nich swoją filozofię natury zbudował.

Nikt o to autora nie pomówi, kto zna, jak szczupłe ułamki o filozofii natury Talesa i o atomistycznym systemie Leucyppa pozostały. Jeżeli myśli filozofów jońskich i późniejszych atomistów, niezawodnie dążyły do tego, aby z pewnych pierwiastków wyprowadzić możność odbudowania wszystkich rzeczy stworzonych, co także było przewodnią myślą naszego filozofa, to jednak w tak wielkim odstępie są Talesowa woda, jako element wszech tworów i atom Leucyppowy, od tego, co p. Levittoux swoją pierwotną siłą elementarną nazwał, i co jako swój atom pojmował, że tylko gruba niewiadomość o plagiat pomówićby go mogła.

Arystoteles, po którym wiele pism zostało, napomyka wprawdzie, że można porównać kości z ościami ryby, paznogcie z rogiem, rękę z kleszczami raka i dodaje: że części te są jednym i tym samym organem, tylko tu więcéj, tam mniéj rozwiniętym; alić wyprowadzając początek świata z materji, bez wpływu mądrości Boga stworzyciela, w niczém nie jest podobien do zasad niniejszéj filozofji natury.

Pan Chałupczyński wcześniéj od Darwina napisał swoje „Pomysły do wiedzy dziejów życia świata“ chociaż w téj pracy potrąca o zdania, które od Darwinowskich zapatrywań się na tworzenie się gatunków organicznych nie daleko odbiegają. Autor, którego posądzono, że czerpał poglądy swoje z tego dzieła, zbywa jego zasady cierpką krytyką. „Pan Chałupczyński — powiada — na każdym kroku, chcąc być oryginalnym, cofa naukę o wieki, i jeżeli uderza to tylko zdumieniem, jak człowiek piszący w tak głębokim przedmiocie i to w XIX wieku, mógł mieć tak słabe wyobrażenie o zasadniczych elementach nauki“ (str. 460).

Nie myślimy pana Ch. brać w obronę, chociaż, dając tylko „pomysły“ nie miał pretensji pisać filozofji. Prawda, że ma oryginalne pomysły, nie przyjmując np. praw grawitacji Newtona i spadanie ciał na ziemię, przypisując parciu powietrzni na wszystkie ciała. Alić to są tylko pomysły.

Najdłużéj zastanawia się p. Levittoux nad teorją Darwina, któremu odmawia wszelkiéj oryginalności, albowiem rzecz o przewrotach globu wziął z Lyella, przyjmując tylko katastrofy miejscowe; a zapatrywania się

swoje o rozwoju istot organicznych wziął z Lamarka, St. Hilaira, z Sir Humfry Davy'ego i Goethego, chociaż o tém przemilcza i tylko po nad obserwacje Lamarka swoje własne postawia.

Teorję Darwina uważa autor za oryginalną pod względem metody studjowania warunków rozwoju istot organicznych, ale że krom wzbogacenia nauki nowemi i licznemi faktami, nic nowego nie napisał i fizjologji natury o krok daléj nie posunął. Darwin przyczyny pomienionego rozwoju do czterech kategorji sprowadził, a temi są: „walka o byt, powstawanie odmian, dziedziczność i wybór naturalny.“ Przypuszcza, żeśmy w przeszłości byli zwierzętami, nierozwiniętemi do stopnia rozwoju człowieka i że praojcowie nasi żyli stadami, jako trawożerne istoty, następnie jako tygrysy, a w końcu jako małpy.

Wszakże przypuszczeń tych niczém nie usprawiedliwił, a wszystkie jego odmiany, jakie przywodzi, ściągają się do ras, a nie do gatunków. Jest rzeczywista tendencja gatunku do zmieniania się, ale zawsze w granicach, określających gatunek. W tych zmianach rasowych jest krzyżowanie, jest ciągłość płodności. Ale jak tylko dwa osobne gatunki się pomięszają, jak n. p. koń i osieł, powstaje bastard — w przytoczonym razie muł, — traci płodność i przestaje tworzyć odrębny gatunek. Odmiany przez krzyżowanie ras powstałe nie są nowemi gatunkami, ale rodzajami tego samego gatunku.

Autor nasz przypuszcza prawdziwość teorji Darwinowskiéj, ale epokę jéj odnosi do epoki, w któréj ziemia nasza była w innych dziewiczych warunkach rozpładniania tworów. Jako dziś embryo w łonie matki, od najprostszego składu z materji organicznéj, z niedopatrzonego jajka, rozwija się do wykształconego zwierzęcia i do człowieka, tak i w łonie niegdyś dziewiczéj natury, gdzie żywotniejsze były warunki ciepła, wilgoci i elektryczności, mogła się rozwinąć pierwotna komórka organiczna i nastąpiło przejście od stanu materji martwéj, do organicznéj, a od téj do zwierząt i człowieka, bez zapłodnienia i bez macicy, która dziś albo jaja z zarodkiem, albo twory żywe wytwarza.

Nie jesteśmy i my zwolennikami teorji Darwina, ani Karola Vogta zapatrywań na pierwsze początki człowieka, bo fizjologicznie a nie religijnie rzeczy biorąc, nie dostaje obydwom tym uczonym przyrodnikom dowodu na zaszłe przemiany z niższego gatunku zwierząt na wyższy. Choćbyśmy nawet epokę tych zmian, aż do dziewiczego i bujnego w siły zapładniające perjodu ziemi naszéj, odnieśli, to będzie niepodobna tym zmianom odmówić nawet długiego czasu. A gdy raptowne przejście jest niemożliwe i tylko stopniowe zmiany niższego gatunku na wyższy przypuścić trzeba, musiałyby w łonie ziemi odnaleźć się także przejściowe szkielety, a tych Cuvier mimo najusilniejszych badań nie znalazł. Nie możemy wszakże odmówić p. Darwinowi znakomitego miejsca, jakie w rozwoju fizjologji ogólnéj zawsze zajmować będzie. Przyznali mu to, mimo znacznéj opozycji i znakomici uczeni francuzcy, gdy chodziło o przyjęcie go na członka korespondencyjnego akademji umiejętności. Pewne szczegóły jak np. wytłomaczenie długości szyji giraffy, i krótkich skrzydeł chrabąszcza, żyjącego na wyspie Madeira nie są szczęśliwie pomyślane, ale całość uderza nowością i oryginalnością pomysłów. A choć inni badacze przyrody na podobne natrafiali zdania, nie czyni to ujmy teorji saméj w znakomity system uformowanéj.

Wracając do filozofji natury p. Levittoux, już przez to samo, żeśmy ją poddali tak obszernemu rozbiorowi ku wiadomości czytelnikom, złożyliśmy dowód, że dzieło to wysoko cenimy, jako rzadki fenomen w dziedzinie filozoficznéj literatury narodowéj w naszych czasach. Radzibyśmy byli, żeby był autor zaczerpnął i filozofji natury niemieckiéj i na polskich obejrzał się autorów, co w téj materji pisali, a nie na samych ograniczył się pisarzach francuzkich. Ma on filozofje idealne niemieckie, a może i Platona, którego nigdzie nie wspomina, za „nieszkodliwe umysłu zabawki, dzięki niebu zagrzebane w kartonach przeszłości“; a Hegla mianuje „twórcą panteizmu, co rozproszkował zuchwale Boga na atomy, nie łącząc ich z sobą nawet w ogólnym jednobycie“ (str. 337). Dowodzi to z gruntu fałszywe zdanie, że do filozofji Hegla nie zajrzał, i że historja filozofji nie ma dlań żadnego znaczenia. Wszakże nie możemy mu odmówić i szerokiéj a gruntownéj erudycji w przedmiocie, który traktuje, i genialnych pomysłów w docieraniu do pierwiastkowego przyrodniczego prawa, będącego jednością w rozmaitości tworów przyrodzenia i nieustającą metamorfozą wszystkich innych sił, od martwych tworów począwszy, do sił organicznych i intellektualnych.

W téj mierze dopiął autor celu, jaki sobie zamierzył i kładzie sam wielką na to wartość. „Całą kreację od atomu do człowieka, do słońca słońc, przyprowadziłem do najprostszego terminu, do jednostki wyrazu, do przyciągania w odpychaniu, a ostatecznie do Boga.“ Tak sam powiada na str. 397. Inna jest rzecz w szczegółach, których żadne logiczne ani metafizyczne następstwo nie łączy z sobą. Na swojém miejscu wytknęliśmy te usterki. Stosunek Boga do natury nie jest wyjaśniony. Rzekłbym, że jest zostawiony w zawieszeniu, chociaż o nim bardzo często wspomina i osobny traktat mu poświęca. Możnaby wnosić, że natura cała jest bożem ciałem a siła działająca we wszystkich metamorfozach swoich jest bożą duszą. Byłoby to panteistyczne pojęcie bóstwa, czego autorowi narzucać nie chcemy. Boć on przed stworzeniem świata uważa istnienie Boga, a więc w osobni od świata, a drgnienie w nim siły pierwotnéj, czyli przejście jéj z równowagi w któréj zostawała w Bogu, do czynu, bierze za pierwszy moment stworzenia materji. Ten niewyjaśniony stosunek stwórcy do stworzenia pochodzi ztąd, że filozofja p. Levittoux raczéj jest fizyologją, niż filozofją. Wychodzi z atomu i sił. Ale na tém też kończy. Nie doprowadza do pojęcia samego Bóstwa. A jeżeli nam powiada, że jak wszystko wyszło z Boga, tak wszystko znowu do Boga wraca, to w tém orzeczeniu jest raczéj domysł a nie konieczność logiczna, ze systemu saméj filozofji wypływająca i dla tego nie podająca żadnego wyraźnego stosunku Boga do natury.

HISTORJA SIWEGO WŁOSA.

Powieść

Władysława Łozińskiego.

(Dalszy ciąg.)

Zostawszy chwil kilka na miejscu, jenerał przeszedł na drugą stronę sali i usiadł samotnie na sofie. Czując się po za horyzontem obserwacji, jenerał utkwił oczy w Adelę i Oktawa, którzy, jakby szydząc ze znużenia, walcowali ciągle, i ścigał ich okiem dokoła sali. Z twarzy jego ustąpił dostojny spokój, którym się zazwyczaj odznaczała, a natomiast wybił się na niéj wyraz przykrego rozdraźnienia a nawet gniewu.

Korzystając ze sposobności, przypatrzymy się bliżéj téj postaci... Jenerał Rokicki musiał mieć lat sześćdzie-

siąt i kilka, twarz jego jednak, postawa i ruchy zachowały, jak to już wspomnieliśmy, całą pełnię męzkiéj siły i żywotności. Musiał być kiedyś pięknym mężczyzną, w całém znaczeniu tego słowa, a i teraz jeszcze uchodził za szlachetny typ osiwiałego żołnierza. Białe jak mleko, ale niezmiernie bujne i gęste włosy ujmowały charakterystycznie twarz jego piękną i wyrazistą, pełną dystynkcji i marsu zarazem, a odbijały wraz z siwym wąsem dziwnie od bystrego dużego oka, w którym nie wygasły jeszcze bynajmniéj ogień i żywotna werwa.

Walc nie chciał się skończyć, a cierpliwość jenerała narażoną była na ciężką próbę. Na twarz jego występował już nieraz wcale stanowczy wyraz niepokoju, gdy naraz spotkał się z trzema parami przenikliwych, świdrujących oczek, z pod kaktusa. Złośliwe obserwatorki wzięły go na cel, a spojrzenia ich zwracały się ciągle od jenerała na tańcującą parę i na odwrót. Sytuacja jenerała stała się tém przykrzejszą. Z głęboką odrazą odwrócił się od złośliwych kumoszek, a w téj chwili przerwano także i walc, który dla jenerała zdawał się trwać wieki całe ..

Jenerał powstał i chciał iść ku żonie. Zwykłe jednak zamięszanie, jakie powstaje w sali po każdym, dopiero co skończonym tańcu, powstrzymało go, a tymczasem widział, jak Oktaw uprowadzał z sobą Adelę do ubocznych salonów. Zrobił ruch nagły i szybkim krokiem postąpił naprzód, jakby chciał dogonić odchodzącą parę, gdy znowu ujrzał się pod krzyżowym ogniem obserwacyjnego kąta pod kaktusem...

Cała baterja oczu skierowaną była na biednego jenerała. Towarzystwo z pod kaktusa zgromadziło cały swój komplet, a już siedm par przenikliwych oczu, chciwych skandalu czatowało na jenerała, aby dać natychmiast temat czternastu językom, chciwym plotek złośliwych... Znano jenerała i wiedziano dobrze, że niesłychanie jest zazdrosnym.

Jenerał zmuszonym był tedy zamaskować swój ruch poprzedni. Nie zwolnił wprawdzie szybkiego kroku, ale zmienił cel jego i przystąpiwszy do jakiegoś poważnego starca, ujął go za ramię i począł się z nim przechadzać po sali...

Po dłuższéj rozmowie, jenerał, który po kilka razy oglądał się do koła, jakby szukał Adeli, pożegnał znajomego i zwrócił się ku ubocznym salonom. Droga prowadziła] koniecznie po pod kaktus, a straszliwe Zoilki nie spuszczały z oka swéj ofiary. Jenerał przybrał jednak maskę zupełnego spokoju, twarz jego była swobodna i wesoło uśmiechnięta. Zbliżając się pod kaktus, zatrzymał się i powitał grzecznie, choć nie bez odcienia gorzkiéj ironji, siedzące tam damy.

Pani Zenobia obsypała go gradem grzecznych słówek, a po takim wstępie wołała daléj:

— Ach, monsieur le comte, jakże dziś hrabina ślicznie wygląda! Que vous êtes heureux! Pani Adela obwołaną została królową balu, i nigdy tron piękności godniéj nie był obsadzonym.

— Właśnie jéj szukam, mojéj królowéj — odparł z swobodnym uśmiechem jenerał — zapewne wyszła tam do ubocznego salonu...

— O dawno już! — zawołała pospiesznie dama z pod kaktusa — jeszcze przed kwadransem z panem Oktawem. C'est un très-charmant jeune homme, ten kuzyn pana hrabiego, sprowadziłeś go jenerał na prawdziwe nieszczęście naszéj młodzieży, która w nim nie lada znajdzie rywala. Il fera son chemin — dodała z niewypowiedzianie złośliwym uśmiechem — tak niedawno tu jest, a już wszystkim się podobał. Un si joli garçon, si spirituel, si charmant...

— Pójdę mu natychmiast zakomunikować tę pochlebną opinję... — przerwał jenerał, udając uśmiech swobodny, choć czuł dotkliwie złośliwość tych pochwał — i przyszlę go tutaj, aby pani podziękował...

Rzekłszy to jenerał zwrócił się na piętach i z lekkim ukłonem udał się do pobocznych salonów. Widać było po jenerale, że jadowite słówka, któremi go obsypano pod kaktusem, rozdrażniły go do najwyższego stopnia, walczył jednak z sobą, aby zachować minę jak najswobodniejszą, we wszystkich pokojach bowiem było dużo osób, a jenerał Rokicki był zanadto znakomitą i dostojną postacią, aby się wszystkie oczy nie zwracały ku niemu.

Witany ze wszystkich stron głębokiemi ukłonami, które oddawał z miną człowieka, którego wysokie stanowisko ozwyczaiło dostatecznie z hołdami, jenerał kroczył daléj powoli przez amfiladę salonów, szukając wzrokiem swéj żony...

Uprzedźmy na chwilę jenerała i zobaczmy, co się tymczasem działo z Adelą i Oktawem.

Na samym końcu całego szeregu pokojów, znajdował się mały salonik letni z jedną ścianą całą podwójnie oszkloną. Pani Atalja była wielką miłośniczką kwiatów, a jeżeli wszystkie salony balowe ustrojone w nie były bogato, to salonik oszklony wyglądał jak czarodziejski gaik najpyszniejszych egzotycznych krzewów i roślin.

Salonik był sztucznie ogrzany, a mimo szklannéj owéj ściany panowała w nim prawdziwie letnia atmosfera, którą balsamiczny oddech kwiatów zaprawiał wonią i świeżością. Pokój ten był prawdziwém cackiem. Ściany jego okryte były kosztowną mozajką i sztukaterją mistrzowskiéj roboty, sufit strojny był w rzeźby najczystszego klasycznego stylu, przedstawiające historję Psyche... Jedna tylko otomana i kilka taburecików stanowiły całe umeblowanie, a duża bronzowa lampa, zwieszająca się z góry, oblewała łagodną falą światła przestrzeń pokoju, ubierając kształty krzewów i kwiatów w fantastyczniejszą jeszcze postać...

Na dworze była noc zimowa, jasna i pogodna... Szklanna ściana saloniku wydawała się furtą przejrzystą do zaczarowanych jakichś, fantastycznych krain... Przeglądał przez nią ciemny lazur nieba, wyiskrzony gwiazdami, oblany miękkiém światłem księżyca, i połyskiwały kryształem i brylantami konary drzew, szronem zimowym okryte...

W głównéj sali, podczas przestanku między tańcami, odezwała się muzyka koncertowym jakimś utworem włoskim, pełnym słodyczy i namiętności, a tony stłumione, łagodne, dolatywały do saloniku, dodając mu nowego, niewypowiedzianego uroku.

Tu znajdowali się Oktaw i Adela. Wyjątkowém zrządzeniem, nikogo oprócz nich nie było w tym prześliczném ustroniu.

Oktaw wprowadziwszy po pod ramię jenerałowę do tego pokoju, usiadł z nią razem na otomanie. Zmęczona tańcem hrabina Adela rzuciła się z niedbałą gracją na otomanę. Przyspieszony obieg krwi ubarwił żywym rumieńcem twarz jéj piękną, przepełnił czarne oczy jaśniejszemi jeszcze blaskami, pierś, któréj wycięta suknia balowa nie zazdrościła oku, falowała rozkosznėm drżeniem

Oktaw, usiadłszy obok hrabiny, nie wypuszczał z rąk swych jéj dłoni... W takiéj pozycji hrabina przebyła chwil kilka, jakby nie mogła się oprzeć przyjemności odpoczynku. Nagle jednak, czy to przychodząc do siebie z zapomnienia, czy uczuwszy silniejszy uścisk dłoni Oktawa, Adela podniosła nagle opuszczoną w tył na poręcz otomany głowę i wyjmując rękę swą z rąk młodego mężczyzny, usunęła się daléj. Jakby pod wpływem jakiegoś przypomnienia, przebiegł uśmiech piękne usta i Adela zapytała nagle:

— Ale, ale, kuzynku, twoja historja, zaczęta przed walcem... Eh bien, et après?...

— Ach zapomniałem, hrabino... — zawołał szybko Oktaw — stanęliśmy na walcu... Nieprawdaż?

— To jest, stanąłeś na walcu... — poprawiła hrabina. — Tylko proszę ściśle trzymać się roli narratora...

— Będę się starał. Lecz przy tobie, hrabino, mimowolnie... on confond les rôles. Po walcu odprowadzam baronowę do jednego z ubocznych pokojów. Zmęczona siada na kanapie, znużenie po tańcu jeszcze piękniejszą ją czyni, ale nigdy od ciebie, hrabino...

— To nie należy do textu...

— O owszem należy zupełnie! Wszak porównania uchodzą autorom. A zresztą to rzuca światło na sytuację, i to mnie uniewinnia...

— I ją także?...

— Mais certainement, ma cousine... Im kosztowniejsza zdobycz, tém zapamiętalsze usiłowanie, a im zapamiętalszy przeciwnik, tém trudniejszy opór...

(Ciąg dalszy nastąpi.)

SPRZASKANA LUTNIA.

Z wspomnień ostatniego powstania

przez

Henryka Merzbacha.

(Dalszy ciąg.)

ἀνάγκη.

Powstaniec.

W tajnych lochach podziemnych, w których światła syny
Ukrywali przed wrogiem wielkich myśli zaród,
Gdzie powstały te straszne niezwalczone miny,
Co miały wyswobodzić ujarzmiony naród.

W tych lochach, nasz poeta, dziecko muz zepsute,
Zapomina o bólu, kochance, marzeniu; —
Tu do pieśni bojowych nastraja swą nutę
I jéj struny hartuje w powstańczym płomieniu.

W przeddzień ósmego kwietnia, gdy słabi zwątpili
I silni, co już lata o tym dniu marzyli,
Gdzie lud cały bez broni duchem zwalczy przemoc —

Cóż on? Porywa lutnię i wśród czarnéj nocy,
Silniejszy wiarą swoją od armat przemocy,
Taką pieśnią chce złamać swoich braci niemoc:

* * *

„Znacie burgi nadreńskie — te twierdze rycerzy —
Pomniki średniowieczne, na górach sterczące?
Tu na zgliszczach, na skale, na samotnéj wieży
Zapisały stulecia swych podań tysiące...

Posłuchajcie z nich jedno: Tam gdzie Renu fale
Zwierciedlą w swojém łonie krajobraz czarowny,
Na najwyższéj tam górze, na najwyższéj skale,
Wśród wałów i przepaści, stał zamek warowny.

A w tym zamku mieszkała złotowłosa pani,
Samotna, od stu wieków, od stu wieków młoda...
Lud mówi, że tak wielką była jéj uroda,

Że rybak gdy z nad Renu na nią rzucił okiem,
Rażony jéj nadziemskiéj piękności urokiem,
Zapominał o łodzi... i ginął w otchłani!

* * *

„Złotowłosa królowa miała lutnię złotą
I grywała co rano i co wieczór na niéj...
Kto jéj tony raz słyszał — ten struty tęsknotą,
Zapominał o życiu... i ginął w otchłani!

Nikt nie zdobył jéj wieży, choć młodzi rycerze
Na ognistych rumakach, z waleczności znani,
Przez wały i przepaście darli się na wieżę...
Nim dobili do celu... ginęli w otchłani!..

I dla czegoż ta wieża starego zamczyska
Tak nęciła rycerzy? Czy tylko dla chwały
Chcieli zdobyć fortecę, by podziwiać z bliska
To królewskie oblicze ze złotemi włosy?
Nie! Jest wiara w narodzie: kto zdobył te wały,
Dla siebie i dla braci zdobędzie niebiosy!

* * *

Tysiące już rycerzy śmierć znalazło w Renie.
Lecz podanie upewnia, że za lat tysiące
Nowy hufiec rycerzy, nowe pokolenie,
Zdobędzie to zamczysko, na skale sterczące.

Wtedy królowa zamku, złotowłosa pani,
W nagrodę tylu trudów, zagra na swéj lirze,
Aż pomarli rycerze powstaną z otchłani
Zdobni w pancerz żelazny, w miecz i w złote krzyże!...

Taki koniec podania. Ta biała królowa
Jak się nazywa? Wiecie!... Kto zamek zdobędzie?
Odpowiedź Bóg w swéj księdze przeznaczenia chowa...

Lecz my walczmy, rycerze!... Gdy wszyscy zginiemy
Powstanie nowy hufiec nad kośćmi naszemi —
A wtedy, bracia, zamek naszym zamkiem będzie!"

* * *

Skończył. Słuchacie wstali. „Wodzu nasz! rządź nami!"
Jednogłośnie wykrzykli. — „Tak ja idę z wami!"
Śmiało naprzód do boju! z Wiarą na armaty!
My Dawidy Wolności zwyciężym — Goljaty!

„Kiedy legnę — nie płaczcie nad trupem, lecz mścijcie
Się za mnie!... Płacz zabija — bądźcie mężni — żyjcie!
Kto kraj kocha — nie ginie śmiercią nadaremną!
Za mną stoją miljony... kto kraj kocha — ze mną!

„Bracia! o takiéj chwili marzyłem ja we śnie,
Zbudziłem się — i widzę drogie sny spełnione!
Tak, spełnim je! bo mścić się nigdy nie za wcześnie!

Ty masz ojca w mogile, ty matkę, ów żonę —
Ich duchy was wołają jękami, boleśnie...
Bóg powierza nam, bracia, Przyszłości obronę!

* * *

„A gdy, zbawcy, wywalczym życie dla narodu —
A sami na wygnaniu lub na szubienicy
Zginiemy... przyjdzie chwila wielkiego odrodu —
A lud wolny kwiat rzuci na grób Męczennicy!

A na grobie już naszym nie będzie zgrzytania,
Ani jęku ni szczęku kajdan ni oręża!
Syn ojca błogosławi — wdowa płacze męża —
Lecz łza ta będzie wielką — łzą zmartwychpowstania?

Życie — nie drganiem cielska, próchnem, co próchnieje,
Lecz Duchem, co czynami pisze losów dzieje! —
Lecz laską mojżeszową, co o bryłę trzaska,

By z niéj źródło wytrysło!... Lud — nie cudza łaska,
Nie błędnéj niewolnicy uśmiechnięta maska!
Lud — to Wolność!.. Więc naprzód! w wolności turnieje!

* * *

„Czém nam wolność? Snem tylko — pamiątką dziejową
My zrodzeni w niewoli — téj niewoli świadki,
Więc z sercem podniesionem, z podniesioną głową.
Krwią zmyjem piętno hańby z czoła naszéj Matki!

Nasze dziady szli wieki na postępu czele.
Dziś ludzkość łamie jarzmo i do światła bieży —
Ona wolna — bo w wolność i w swój postęp wierzy. —
Tylko dla nas więzienia!... Więc ze mną, mściciele!

Pójdziemy — i krzykniemy głośno na świat cały
Żeśmy żywym narodem! Wszystkie święte drogi
Do walki — do zwycięztwa — do męczeńskiéj chwały!

Złączymy wszyskich braci — wezwiem wszystkie Bogi —
Dzieci światła — pójdziemy do boju, bez trwogi...
Aż nad groby tyranów wzleci Orzeł Biały!...

* * *

„Duch wiekom przewodniczy i wieki przeczuwa. —
To przyszłość, w doczesności uwięziona ciele —
To prawda — co kajdany ciemnoty rozkuwa —
To przywódzcy Postępu — to wy marzyciele!

Jezus — Mojżesz — Mahomet — ta zbawienia Trójca;
Galileusz — Kopernik — ci kapłani słońca;
Joanna d'Arc — ten święty niewoli zabójca;
Leonidas — szalony Termopil obrońca;

Levittoux — co podpala łoże, gdzie spoczywa —
Jak kadzidło ofiarne pali się dla braci —
I stoi jako ołtarz w ojczystym kościele!...

Frankowski — co bagnety pięściami zdobywa
A bagnetami działa! Ten lud, co nie traci
Męztwa — i zmartwychwstaje — Oto Marzyciele!

* * *

Marzycielu! cześć tobie! cześć młodzieńczéj wierze!
Cześć wierze w własne siły—w zmartwychwstania zorzę!
Od żelaza są trwalsze twéj woli puklerze!
Duch swobody silniejszy niżli katów noże!

Niech tylko cały naród przemoc duchem łamie —
Niech pamięta o przodków męczeńskiéj spuściźnie —
A będzie miał w miecz zbrojne archanielskie ramie —
I walcząc — znów wywalczy swobodę Ojczyźnie!

Patrzcie, jak już od wieku jeniec rwie kajdany.
Choć mu najazd przemocą kark pod jarzmo zgina.
On je złamie — bo złożył Wolności przysięgę!

Bo ludy walczą z Bogiem — z szatanem tyrany —
Bo nie bagnet zbrodniarza los dziejów przecina —
Nie armaty stanowią narodów potęgę!..."

(Dokończenie nastąpi.)

Z Moich Wspomnień.

O życiu towarzyskiém w Warszawie

przez

Paulinę z L. Wilkońską.

(Ciąg dalszy.)

Niedziele u Państwa Maciejowskich.

W domu Wacława Aleksandra Maciejowskiego bywały i bywają jeszcze niedzielne zebrania, nie zbyt liczne, ale pod względem inteligencji wybrane i nader przyjemne. Rozmowy poważne, naukowe, niekiedy bywają ożywione dowcipną opowieścią lub też przeczytaniem pięknéj, nowéj poezji — która staje się jakoby wonnym kwiatem w urnie rzeźby dawnéj — albo etrusku.

Dawniéj bywał tam zawsze Antoni Muczkowski, brat Józefa, Mąż wielkiéj, gruntownéj nauki i przeczystego charakteru, skromny ponad wszystko, cichy, arcyprzyjemny w rozmowie — pięknéj duszy, pełen serca, głębokiego uczucia i wyrozumienia dla drugich.

Późniéj nie opuścił tamże niedzieli żadnéj Julian Bartoszewicz. Bywali Wojciccy, Korzeniowscy, Antoni Waga sławny naturalista, Baranowski astronom, Szabrański — czyli krótko mówiąc cały zastęp inteligencji. Z kobiet niemal zawsze Seweryna Pruszakowa, Józefa Śmigielska i Julja Janiszewska. — A często i goście z dalszych okolic kraju i z zagranicy.

Henryk Rzewuski bywał także dość często — ale nie było bliższych pomiędzy tymi panami stosunków.

W salonie na stole można napotkać wszelkie literackie nowości. Wydania wszechstronnéj wiedzy. Ryciny piękne, Albumy i ciekawości różne.

Rozmowa płynie, tryska — i godzin kilka przeleci przyjemnie nader i z pożytkiem.

Pani Maciejowska, Tekla z Krzyżanowskich, urodziła się w Galicji pod Tatrami, we wsi dziedzicznéj rodziców, Jazowsku. — „Ojciec jéj Wielkopolanin" — jak mi mówił pan Wacław Aleksander — „zabłąkał się w Krakowie, i tam, w dzisiejszym cyrkule Sandeckim, we wsi Chromranicach, dawném Małopolskich Arjanów gnieździe, pojął za żonę pannę Trzetrzewińską, wsi owéj dziedzica córkę." — Zawsze z życzliwym, przyjaznym wyrazem na ustach, pełna naturalności, pani Tekla ma wiele wdzięku naturalnego w przyjęciu, dobroduszności, i serdecznie z nią gawędzić można.

Wacław Aleksander Maciejowski jest członkiem wszystkich Towarzystw uczonych i wszystkich uniwersytetów w całéj Sławianszczyznie istniejących. Z Towarzystw zagranicznych ma stosunki z Kopenhagą i z Towarzystwem celtyckich starożytności, które odbywa posiedzenia swoje w St. Brienne w Normandji.

Będąc w Gietyndze dla ukończenia studjów swoich, w roku 1817., przestawał z Wilhelmem i Jakóbem Grimm'ami, którzy wtedy byli urzędnikami Biblioteki elektoralnéj w Kassel.

W roku 1855. zbliżył się pan Wacław Aleksander znowu do Jakóba Grimm'a — Wilhelm wtedy już nie żył i zdarzenie to opisał w Bibliotece warszawskiéj tom I.

„Grimm Jakób" — pisze mi Maciejowski — przyjął mnie po tylu latach bardzo mile, ale rozmowa nasza nie poszła mu w smak! Przekonałem się wtedy, że to jest Niemiec całą duszą, czego mu za złe nie wziąłem,

chociaż on, jak się dorozumiałem, brał mi za złe, żem dał taki obrot kwestji swewskiéj, jakiego sobie nie życzył. Cóż robić? Prawda jest prawdą i kalaną być nie może. — Dla kwestji téj wpadłem w niełaskę i u innych Niemców. Dowodem tego jest pan Henryk Sybel: Enstehung des deutschen Königthums. Frankfurt am Main 1844. str. 17. w przypiskach. — Najlepiéj sobie w tém poradził śp. Laudan: Die Territorien. Hamburg und Gotha 1854. Nie wspomniał, nic o Swewach ani o mnie, choć sobie wszystko com w historji prawodawstw wyrzekł, przywłaszczył. Na podstawie téj powiedział wręcz (Die Terri. 292) „Wir überzeugen uns, dass sowohl die Germanen als die Slaven Ureinwohner des heutigen Deutschlands sind.“

Mówił mi pan Wacław Aleksander z umiechem, że Grimm nazwał go: ein enragirter Pole. — A mnie przypomniało się zaraz wyrzeczenie tegoż na Zgromadzeniu frankfurtskiem roku 1848.: Wo drei Deutsche zusammenkommen, da giebt es vier Meinungen. — Doskonała to odpowiedź na czyniony Polakom zbyt często zarzut, że są w zdaniach swoich i ideach niezgodni.

Mąż wielkiéj a głębokiéj nauki, badacz niezrównany historji polskiéj i prawodawstwa polskiego, z miłością, namaszczeniem i wytrwałością bez granic, — lubi pogadankę, udziela się rad i poucza chętnie, ile że jest uczynnym bardzo. O pracach swoich mówi z rozjaśnionem spojrzeniem, z ciepłem duszy a serdecznie. Mówił mi kiedyś:

— W przedmowie do VI. tomu powtórzę ze Szylerem:

„Maj życia kwitnie raz tylko, téj chwilą
Nic już nie wróci — ja méj młodości
szczęście dałem jéj!“

— Boć też i wszystko niwie ojczystéj oddałem!

I zaprawdę, że życie jego było i jest ciągłą pracą — pracą moralną — trudną a wielostronnie trudną — która jemu i cierpień wiele przyniosła! .... zwłaszcza przy tak serdecznie polskim uczuciu.

— Kiedym siedział w Gietyndze na ławach szkolnych — opowiadał mi — postanowiłem, zachwycony wykładem historji prawa niemieckiego prof. Eichorna, napisać dzieło o prawodawstwie polskiém. Daléj od r. 1820, kiedym należał do komisji prawodawczéj królestwa, uczułem potrzebę zgłębienia naszéj przeszłości. Nakoniec od r. 1831, kiedy po upadku powstania rozpacz zajęła serca wszystkich... aż do chwili, w któréj zacząłem nowo zupełnie przerobione drukować dzieło moje, żyłem tylko niem i do niego ustawicznie zwracałem swe myśli. Wystarczyło mi za rozrywki wszelkie, zabawy, przyjemności... Wszystko nawet, com prócz niego pisał, było tylko przygotowaniem do lepszego zgłębienia głównéj myśli, a myślą tą było życie dawnéj Polski, biorąc ją w całym ogromie od Odry aż do Dniepru i Dźwiny. I z życiem tém innych Sławian porównywając życie. A dopiero po wydrukowaniu téj pracy odetchnąć nieco, by... pracować daléj. Zająć się dalszym ciągiem Piśmiennictwa i Polski pod względem obyczajów. Ale starość nie radość! Nie wiem czy się życzenia spełnią.

W jednym z listów swoich, z 4. lipca 1857. wspomina szanowny autor: „.... W tych dniach rozmawiałem z jednym z dawnych pułkowników naszych, świeżo wracającym z Paryża, który dziwy o tamecznym stanie rzeczy opowiada. — „A téj piosenki jaki koniec? — zapytałem go. — „Bóg to wie — odrzekł — ale smutny koniec będzie.“

Przeczytałam list ten niedawno, a ten ustęp, jakoby proroctwo dzisiejszych strasznych wypadków, uderzył mnie szczególniéj, żem go i pominąć nie mogła.

Za pozwoleniem znakomitego autora, zamieszczę tutaj z jego listów szacownych kilka ważniejszych wyjątków.

„Warszawa 10. kwietnia 1859. r.

„.... Za parę tygodni, da Bóg, wyjdzie tom III. Historji prawodawstw sławiańskich, który rzecz całą aż do XIV. wieku zupełnie kończy. Tak więc dzieło moje do połowy dokonane zupełnie. Odtąd aż do konstytucji 3. maja zaczyna się nowa materja, na pierwszéj serji oparta. Serja ta (tom I. II. III. Hist. praw.) wykazuje granicę cywilizacji zachodu a wschodu, północnéj i środkowéj Europy, czyli Niemiec dzisiejszych, i wykazano, jak różnéj narodowości ludy dawną Giermanją zamieszkujące, pociągnięte werniksem: niemiecką mową, utworzyły aglomerat ludów, w którym dotąd dwa różnorodne spostrzegać się dają żywioły: szwabski i saski. Wykazany żywiołów tych do Sławiańszczyzny stosunek, i stosunek ich do Litewszczyzny w dwóch następnych dzieło kończących wykaże się tomach. Jeżeli Pani chcesz wskroś narodowości niemieckiéj przeniknąć ducha, rozważ prawo rodowe w III. wyłożone tomie, a mianowicie małżeństwo na str. 25 — 26 — 297 — 302. Tudzież rady na str. 396 — 400 spisane. Dotąd nawet przebijają się tego w charakterze Niemców ślady. Chociaż już przed wiekami (w 1. nawet po Chrystusie wieku za czasów Tacyta) charakter ten złagodniał wielce w dawnéj Giermanji przez zetknięcie się Normanów z masami ludów, z których się następnie rozwinęli Sławianie. Chceszże też poznać pierwiastkową ludzkość, rozważ w temże dziele (str. 366—396) prawa kaukazkich ludów przez pewnego Kabardyńca spisane niedawno temu na miejscu....“

„Warszawa 14. Lipca 1859.

„Coś to tam niby zalśniły jakieś pobłyski na Sejmie Berlińskim — co mi się jednak nie zdało. Bo mam przekonanie, że krzyżackie państwo w niczem doli naszéj, chyba mimowolnie, nie polepszy. Cała więc nadzieja w nas samych spoczywa i jeszcze czas do jéj spełnienia, byleśmy szczerze chcieli. Wewnątrz się wyrabiajmy, uzbroiwszy się w cierpliwość świętą, któréj świetny przykład dali nam Włosi. Kiedy im zajaśniała gwiazda nadziei i według wszelkiego podobieństwa do prawdy nie spełnie, na niczem, to i nam też zajaśnieć może i zajaśnieje, w co wierzę mocno. Pracujmy więc, czytajmy, piszmy i rachujmy. Dziwna, że w ostatniém małe dotąd uczyniliśmy postępy: nie możemy, widzę, pojąć tego, że dwa razy dwa, cztery — a nie ośm, jak my rachujemy i myśląc, że mamy ośm a nie cztery, w stósunku tym wydatki nasze czynimy. Lepiéj od rachunków idzie pismo, ale cóż, kiedy znowu brak zaczyna być takich coby czytali...“

Obok tak wielkiéj, głębokiéj nauki i pracy zajmują pana Wacława Aleksandra — co podziwiać należy — i utwory literatury lekkiéj. — Przesłałam mu ongi trzy moje powieści: Irenę — Panią podkomorzynę — Obrazek poznański — wedle żądania na ręce syna jego do Mazewa pod Łowicz. I otóż co mi napisał:

„Czekały mnie tu powieści Pani, obszedłszy wprzódy połowę ziemi Łęczyckiéj, wypożyczane do czytania. Teraz, przybywszy na wieś, dopadłem ich przecie i odczytałem. Niewymownie mi się podobały wszystkie trzy. Pani masz oddzielny sposób pisania, który do serca przemawia czule... Pragnąłbym teraz, żebyś Pani wystąpiła z podaniami i wizerunkami wielkopolskiemi, w którychby szkicując obrazki ziemi i ludzi (w ten niby sposób co ja w Polsce pod względem obyczajów, historycznie rysowałem całą Piastowską i Jagiellońską Polskę.) Przysposobiłabyś materjałów dla przyszłego etnografa i powieściopisarza historycznego, a tymczasem dałabyś w rękę zajmujące i uczące obrazki, bo teraźniejszość opi-

sujące wiernie. Taki Werda[1]), taki hubiarz[2]) — na którego się dziś patrzymy, będzie kiedyś jeszcze więcéj interesującą figurą aniżeli dziś, bo obecnie mamy Werdów, a w przyszłości nie będziemy ich mieć tak, lecz inaczéj zabiegłych. (Werda, to pruski Szwab . . . protoplasta jego w Piśmiennictwie tom III. popatrzeć w rejestrze). Tym sposobem uniknęłabyś Pani przykrości . . . a dogodziłabyś potrzebie: bo zaprawdę, nie wiedzieć zkąd czerpać materjałów do powieści, jakiéj potrzebujemy. Gdyby był w ten sposób opisywał nam Galicją pan Kaczkowski, byłby większą zrobił przysługę niż pisząc intrygowane powieści. Zechciéj Pani wziąść się do rzeczy: rzuć okiem 1) na historją Wielkopolski, odrębną od Małéj Polski, fizjognomją mającéj, 2) na postać jéj ziemi, 3) ludzi polskiego, 4) niemieckiego szczepu, 5) żydów, 6) księży, 7) panów, szlachty, ludu, 8) mężczyzn i niewiast itp. — A napiszesz dzieje i romans, bo rzeczywistość w ozdobnéj przedstawioną szacie zawierający."

(1) (2) Postacie z powieści mojéj: Obrazek poznański.

Otóż chciałabym i pragnęłabym z duszą posłuchać wezwania i pójść za radą znakomitego męża — ale, podobno, że siły zbyt słabe po temu. Zamieściłam tutaj ten ustęp umyślnie, by do pracy tak pożytecznéj i pożądanéj zdolniejsze zachęcić pióro.

Przyczyni się pod tym względem bardzo pan Oskar Kolberg, który już powtarzane razy w księstwie bawił i z nieporównaną pracą i troskliwością bada, śledzi, zbiera aż do najdrobniejszych szczegółów obyczaje i zwyczaje ludu, piosnki, przysłowia, dykteryjki wszelkie i podania.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Piosenki.

III.

Komar

W izdebkę moją wlata,
Komar wlata,
Złośliwy gość, wśród nocy,
Ze świata.

Wśród nocnéj ciszy,
Słodkiéj ciszy,
Gdy już pierś moja
Wolniéj dyszy;

Zazdroszcząc mi spokoju,
Komar wlata,
Złośliwy gość wśród nocy,
Ze świata!...

To ten sam owad chciwy,
Mocny Boże,
Co się krwią moją przez dzień
Napaść nie może.

I w nocy jeszcze wlata:
Do pieśni mojéj słodkiéj
Mięszając z przykrym brzękiem
Głupstwa i plotki...

Karmazynowy cały,
Chudy, wysokie nogi,
Oddawna go spotykam
Wśród mojéj drogi!...

IV.

Omyłka.

Wyraźnie strumyk gada...
Objęta w skał pierścieniu,
W brzóz białych chłodnym cieniu,
Fala, jak pierś w westchnieniu,
Wznosi się i opada!...

Jak szemrze, jakże gwarzy!
Smętnym się dźwiękiem wzrusza:
Czy nimfa się tak skarży,
Nimfa o cudnéj twarzy,
Czy téż topielca dusza?

Mgły nad strumieniem wiszą;
Ondyny zeń po cichu
Wychodząc, słodko dyszą
I na lilij kielichu
Niedbale się kołyszą...

Wiatr go całując, muska,
I rybka złotołuska,
Ludzkiemu tajna oku,
W otchłani skryta mroku,
Swobodną skrzelą pluska..

Okólny las i rżysko
Swą czerstwą woń rozprasza;
Wyraźnie strumień blisko
Bo szepce coś i gada...
Nie! to deszcz drobny spada
Z rynny mego poddasza!...

Wł. Ordon.

KRONIKA TYGODNIOWA.

Wkrótce przypada stuletnia rocznica naszéj niewoli. Święto to dla całego narodu uroczyste, — chwila do skupienia się w sobie, do zapytania się, ileśmy przez te sto lat próby nauczyli się i czegośmy z błędów naszych zapomnieli — pora do obrachunku z siłami i postawienia jasnego programu na przyszłość, we mgłach któréj świeci nasze upragnione, wieczyste słońce wolności. Do takiéj spowiedzi przed samemi sobą i światem powinna pomódz nam literatura, stawiając cały obraz naszego materjalnego i moralnego bytu w dziele, do któregobyśmy kiedyś mogli zajrzeći zwycięzcy, lub jeszcze pokutujący, zobaczyć ileśmy od ostatniego etapu postąpili lub cofnęli się.

Słyszeliśmy o kilku projektach postawionych w tym celu i sądzimy, że cały kraj z pomocą do ich ziszczenia powinienby pośpieszyć i pośpieszy. Każda praca do upamiętnienia téj rocznicy służąca, ma swoje uprawnienie, albumy, medale, dzieła pojedyńczych osób, czy zbiorowe; a im więcéj będzie śladów téj ważnéj rocznicy, tem pewniéj wnukowie usłyszeć będą mogli głos dziadów, przypominający im potrzebę sprawiedliwości względem siebie i czyn pożyteczny dla narodu.

Jak Galileusz, przed sądem przedajnym i fanatycznym, Polska osądzona i pogrzebana odezwie się po stu latach kajdan — dźwięcznym głosem z szerokiéj piersi: „E pur si muove!"

* * *

Z wielu win przyjdzie się nam wyspowiadać. — A pomiędzy innemi z pokorą i chęcią poprawy przyznać musi Wielkopolska, jak mało dbała dotąd o język narodowy, jak z pewnem zaślepieniem, wypierającym go żywiołom, ustępowała kroku. Niedawno Dziennik Poznański oskarżył wymownie tę lekkomyślność publiczną i pokazał jak prawie we wszystkich stosunkach życia język polski ma u nas zastępcę w niemieckim. — Jest jakieś niedbalstwo, grzeczność czy wstyd fałszywy w nas, skłaniający do używania przy kupnie, sprzedaży, przed sądem w podróży, języka niemieckiego, — a dzięki Bogu, dotychczas nie masz u nas przymusu, jak na Litwie, gdzie jednakże mówią po polsku.

Ulega temu nawet wybór intelligencji. Ileż razy słyszeliśmy profesorów, doktorów, ekonomistów, mieszających w żywéj rozmowie całe frazesy niemieckie, a każdy żart, każde przysłowie prawie, byłoby niezrozumiałem dla Rysińskiego lub Fredry. Skutki z tego są opłakane. Bo klasy robotnicze stosunkami swemi do używania języka obcego najczęściéj zmuszone, — bez antidotum idącego z góry — już nawet śród zabawy wykrzykiwać po polsku zapominają. A kupiec niemiecki w mieście na wskróś polskiem, na polskie zapytanie wzruszając ramionami odpowiada:

— Ich verstehe nicht!

— Dla czego?

— Wszyscy Polacy tak dobrze po niemiecku mówią! Słusznie nas potem lekceważą sobie, — i żartują z téj polskiéj grzeczności — o któréj psychologicznych pierwiastkach tak pięknie mówi Libelt w rozprawie o „Odwadze cywilnéj.“

* * *

Źle jest być zanadto grzecznym, — doświadcza tego obecnie i Tygodnik na sobie. Przez zabłocony rydwan świątobliwego kronikarza Lwowskiego Przeglądu obryzgany został wraz z innemi spokojnymi przechodniami. Byliśmy zanadto grzeczni. Szliśmy jednakże w tym względzie za pogardliwym spokojem zachowywanym przez inne pisma w obec napastnika, tem cyniczniejszego, że odzianego w godną poszanowania sukienkę i, jeśli dzisiaj odzywamy się to tylko dla tego, ażeby wypowiedzieć Przeglądowi jasno, że uważając czyny jego, jako przewidziane pod paragrafem nieobyczajności publicznéj, zostawiamy go właściwemu trybunałowi i wracamy do l'Union du Silence.

* * *

Kronika faktów ostatniego tygodnia bardzo uboga. Jeżeli wspomniemy o ostatniem walnem zebraniu Towarzystwa Przyjaciół Nauk na sali Bazarowéj, które poprzedził piękny, choć zbyt jednostronny odczyt p. Dr. Łebinskiego: „o ideach, historycznem stanowisku i przyszłym życiorysie, Karola Marcinkowskiego,“ obecnie drukujący się w Dzienniku Poznańskim, o wywróceniu się maszyny roboczéj, przy nowéj kolei Gnieźnieńskiéj, katastrofie śmiertelnéj dla kilku biednych robotników — i o „Kosie“ humorystycznéj, zapowiadającéj się złowrogo, pod osłoną tajemnicy — lista będzie zupełną.

* * *

Tak skończywszy na teraz niewdzięczne obowiązki nasze, idziemy spocząć w pracowni p. Leopolda Stejnmana i, korzystając ze sposobności, zapoznać czytelników naszych z postacią młodego a już mającego stanowisko w sztuce artysty. — Na tych samych kartkach wspomnieliśmy już kilkakroć jego imię. — Dzisiaj chcemy dać krótki przebieg jego działalności i studjów. —

Pan Stejnman uczeń Warszawskiéj szkoły sztuk pięknych, — następnie wysłany, jako stypendjat tejże szkoły, na akademję rzeźbiarską do Berlina, — rozwijał się tam pod wpływem nauki i przyjaźni znakomitego profesora Wolffa, którego dziełem jest świeżo odsłonięty w Berlinie pomnik Fryderyka Wilhelma III. W krótkim czasie, pod tak dobrym kierunkiem, p. Stejnman,— który już w rodzinnéj Warszawie znalazł uznanie, — pracami swemi portretowemi w Berlinie, tak skąpym w pochwały dla cudzoziemców, mianowicie polaków, zyskał zasłużony poklask i wzięcie. Przybywszy do Poznania powziął p. Stejnman, szczęśliwą myśl polecenia się Wielkopolskiéj publiczności odtworzeniem dla niéj rysów dwóch nieodżałowanych obywateli śp. Karola Marcinkowskiego i Macieja Mielżyńskiego. Medaliony obu tych mężów, przedstawiające z profilu szlachetne te i myślące twarze, prawdą i siłą same już nadają artyście prawo do wdzięczności publicznéj i rozgłosu. Odtąd, codziennie niemal, wyrastają z pod biegłego dłuta artysty nowe portrety, a każdy z nich ma tę zaletę, że nietylko oddaje wiernie podobieństwo fizyczne, ale także odzwierciedla duszę przedstawianéj osoby. W pracowni jego za każdą nową wizytą spotykamy postacie znanych w mieście naszem osobistości, a portrety kilku dam z prowincji, jak hrabiny Bn. i pani St. oraz medaljon p. Teodora Żychlińskiego byłego redaktora Dziennika Poznańskiego miękkością zarysów i wielką skończonością w wykonaniu sprawiają prawdziwą artystyczną przyjemność widzowi.

Pan Stejnman wkrótce zapewne wróci do Berlina, niechże przynajmniéj czytając tę wzmiankę uniesie ze sobą przekonanie, żeśmy go uznać i ocenić chcieli.

Wł. Ordon.

Korespondencja z Warszawy.

Warszawa dnia 9 lipca.

Zaledwie skończył się Święto-Jański jarmark, na którym napatrzyliśmy się na pulchne i wąsate twarze szlachciców wiejskich — zaledwie popłynął uniesiony wiślaną falą ostatni wianek dziewiczy zrzucony z żelaznego mostu w wigilją św. Jana, a którego płomienne ręce kochanka nie chciały, czy nie mogły chwycić, kiedy ogród Saski zgromadził w sobie mnóstwo osób płci obojéj na loterje fantowe, wydawane przez tutejsze zakłady dobroczynne. Wśród szmeru szumiącéj fontanny, któréj rozbryzgujące się krople konały w barwach tęczowych ogni bengalskich, przy odgłosie muzyki, upojeni wonią kwiatów i... kurzu, przechadzaliśmy się między tłumami ustrojonemi świątecznie... gwarząc, śmiejąc się i patrząc... Muzyka Bilsego, grając modnego Gawota Ludwika XIII rozkoszne budziła marzenia w tym istnie czarodziejskim obrazku. I skończyło się, jak wszystko na świecie i nadszedł lipiec i upały jego i już nie będziem mieli żadnych zabaw. Więc nic nam nie pozostaje, kiedy „fortuna tygrysica“ jak mówi Fredro, nie dozwala spieczonego bruku stolicy opuścić dla zielonéj wsi, dla lasków, krówek i jeszcze pewnych istot, jak usiąść gdzieś w kącie i dumając o tém jakby to dobrze było mieć dużo pieniędzy, a przynajmniéj jaką willę maurytańską, gdzieś w drzew cieniu, czytać O wolności woli Ochorowicza. Książka ta strojna w błękitną okładkę ukazała się z Jowiszowym gromem w ręku, wśród ogólnéj posuchy literackiéj. Młody autor, rozebrawszy z matematyczną ścisłością wewnętrzną organizację natury człowieczéj, zastanowiwszy się nad istotą i źródłem woli, przechodzi następnie do historycznego jéj przebiegu w ludzkości i... nie wypowiada swego zdania ostatecznego w téj palącéj kwestji. Domyślamy się jednak z pewnych danych, że zaprzecza absolutnéj wolności woli w człowieku, na co z całego serca się zgadzamy. Książka to wprawdzie nie skończona, ma wyjść niedługo broszura dopełniająca takową, ale, bądź co bądź,

jest to już potężny taran walący w przesądy teologiczne i widma średniowieczne, które jak półcień posępny gotyckiego gmachu duszą nam umysł i serce... Znajduje się ona już u was zapewne i spodziewamy się ujrzyć szczegółowy jéj rozbiór w szpaltach Tygodnika.. Czyta się ją, jak romans, z gorączkowém biciem serca, z pewnym gniewem, że autor spokojny zawsze i zimny nie unosi się nigdy, nie zapala, nie zaczerpie pełną dłonią z piersi swojéj słów potężnych, Juliuszowych, coby zdruzgotały na nic ów bałwan ciemny!... Doprawdy, jest tam w Ochorowicza umyśle pewna potęga, pewna precyzja matematyczna, jest spokój wielki, ale nie ma tego talentu słonecznego, coby myśli nowe, zdrowe i drżące postępem ubrał w świetliste słowa, rzucił je jasne, jak gwiazd krocie, tłumom, porwał te tłumy, uniósł i powiódł ad astra! Tak jednak, jak jest, jest dobrze. Ochorowicz z grona młodszéj generacji piszących u nas zajął już poważne stanowisko i w literaturze kiedyś świecić będzie, a, kto wié, może i w nauce.

Rzucając pole filozofji, która wśród tropikalnych upałów i kurzu słonecznego sprawia wrażenie prysznica, przechodzim powoli w harmonijne strefy poezji. Mierosław Dobrzański, poeta, znany w tutejszych pismach perjodycznych, wydał książeczkę p. t. W s t ę p n e a k o r d y. Obdarzony gładką ale nie wyrazistą formą, nauczywszy się z książek kilkuset oklepanych frazesów i myśli, nawzdychawszy się do sytu do wszystkich świętych płci obojéj, nabożny jak stara dewotka, skromny jak piętnastoletnia panna, wyczesany i gładki, jak złoty młodzieniec, pan Dobrzański, bez siły i charakteru, wszystkie te przymioty uwydatnił w swych Wstępnych Akordach. Przeczytawszy je, rzekłem, westchnąwszy serdecznie: „e t n e i n d u c a m e i n t e n t a t i o n e m“ miałem bowiem ochotę wypalić sążnistą krytykę i zmieść raz na zawsze te słabostki poetyczne, te chętki rymowania, sprawiwszy „rzeź niewiniątek“ albo lepiéj jak mówi Słowacki „cmentarz“ p. Dobrzańskiemu. „Wstępne akordy“ przyniosły już przy urodzinach swoich zarodek śmierci — więc d e m o r t u i s... Opuszczając bladego i nierozwiniętego trupa Wstępnych Akordów radbym z duszy serca porzucić literackie pole — ale cóż? żółte i czerwone okładki nowych książek ułożonych symetrycznie na mym stole upraszają się pokornie, żeby i o nich coś napisać do Was. Aleksander Tyszyński, uczony profesor, o którym powiadają, że kiedy wraca do domu wieczorem z parasolem, przez roztargnienie kładzie parasol na łóżku a sam staje w kącie i dopiero go żona wyprowadza z téj Bramińskiéj kontemplacji, wydał nową rozprawkę p. t. D w i e Ś w i t e z i a n k i, w któréj zastanawia się nad dwoma tak zatytułowanemi utworami Mickiewicza i Siemieńskiego Lucjana. Ciekawa to bardzo rzecz, szkoda tylko, że trochę za ciężko napisana. Autor wyszukuje w obu tych utworach myśli filozoficznéj, myśli głębokiéj, która wypływa z jednego źródła i wiąże je ze sobą złotą nicią — a już podobno największą zaletą téj pracy jest to, że podniósł zapomnianą i nieznaną prawie pracę Siemieńskiego, która jest istną perłą urjańską, nawiązaną na świetlisty sznur naszéj poezji. Drga ona dziwnym dźwiękiem, niby srebrne serce w złotym dzwonku... Pracę tę Tyszyńskiego drukowała poprzednio Bibljoteka Warszawska, a teraz wydała w osobnéj odbitce, jak również rozprawę starego Franciszka Salezego Dmóchowskiego, który niegdyś krzyknął „niepozwalam!“ i uciekł na Pragę; O ż y c i u i p i s m a c h K a z i m i e r z a B r o d z i ń s k i e g o. Siwowłosy, a przecież rześki jeszcze p. Salezy, w ostatnich chwilach swego życia, postanowił wyczerpująco skreślić życiorys Kazimierza z Królówki i, jeśli będzie można, wydrukować w zupełném wydaniu jego dzieła. W broszurze o któréj mówimy, nie ma nic nowego a przynajmniéj bardzo nie wiele i rzeczy mało znaczące, nie było więc o czém pisać i szumieć wiele... lecz starcom i dzieciom dużo się wybacza. Brodziński wreszcie nie jest znów tak bardzo ważną osobistością w literaturze, dzieła i poglądy jego na literackie kwestje dziś już są trochę przestarzałe, ażeby starać się aż o nowe jego wydanie. Wpływ i znaczenie jego bractwo wzajemnéj adoracji trochę przechwaliło.. Nie dziwim się wcale panu Salezemu, który rad, jak każden starzec, wspominać swoje młode lata i swą historyczną „ucieczkę na Pragę“ z liberum veto na ustach, ale dziwim się nieco Bibljotece Warszawskiéj.

Z nowości literackich ukazał się jeszcze przekład głośnego dziełka Franciszka Sarcey p. t. O b l ę ż e n i e P a r y ż a, dokonany przez p. Filipa Sulimierskiego, redaktora Wędrowca. Czyta się to bardzo ciekawie — autor będący w Paryżu podczas oblężenia opowiada dzień za dniem swe wrażenia, widoki, nadzieje... A wszystko to pisane jest żywo, po francuzku, tętniące prawdą i gorącą miłością kraju, wzdychające do odwetu...

Uf!... aleśmy się rozpisali... tak, że na inne ploteczki i codzienne zajęcia stolicy naszéj, palonéj od słońca, czasu i miejsca nam już nie staje. Chcieliśmy jeszcze dużo napisać, dużo wam donieść, wspomnieć o teatrzykach letnich, ciskających wieszcze słowa poetów w twarz niebu z lazuru i słońcu i szemrzącym falom ludu... chcieliśmy wspomnieć o spacerach na wody w ogrodzie Saskim, o baletach w Łazienkowskim teatrze, o ślubach, śmierciach i morderstwach i o procesie pana Dzikowskiego z p. Bogusławskim i wiele jeszcze innych rzeczy, a tu miejsca nie ma... O! fortuno tygrysico, która wytrącasz mi pióro, w zapale weny plotkarskiéj, bądź przeklęta!...

†

Przypiski do mojéj rozprawy:

O Stanisławie Górskim,

zamieszczonéj w tomie VI Roczników Tow. Przyjaciół Nauk Poznańskiego.

Już po ukończonym druku mojéj rozprawy o Stanisławie Górskim udało mi się zebrać jeszcze niektóre o nim wiadomości, których rad użyczam szanownéj Redakcji Tygodnika Wielkopolskiego, dla zapoznania z niemi szerszéj publiczności.

Górski, będąc sekretarzem podkanclerza Tomickiego, należał także do urzędników kancelaryi królewskiéj a, jako taki, przepisywał listy królewskie. Oryginalny taki dokument królewski, przez niego na pargaminie przepisany, widziałem w biblijotece p. Michała Sczanieckiego w Nawrze pod Chełmżą. (Dat. Crac. in conuentu generali die conuersionis S. Pauli apostoli a. d. 1532 etc.) Pismo w tym dokumencie jest bardzo staranne, nawet piękne, a tak odmienne od zwyczajnego jego charakteru, że trudno byłoby osądzić, czyja to ręka, gdyby na dole nie były umieszczone te wyrazy: Stanislaus Gorski scripsit.

Prócz wymienionych (na str. 101 i 102) kopji tomu pierwszego Kod. Karnkowskiego znajduje się jeszcze jedna w biblijotece uniwersyteckiéj warszawskiéj, w Kazimierowskim pałacu, pod Nr. 159. Wiadomość tę udzielił mi pan Dr. Roman Komierowski.

W biblijotece zaś pana Zygmunta hr. Czarneckiego w Gogolewie, pod Miejską Górką, znajduje się tom XIII. oryginalny Kod. Karnkowskiego. Pan Czarnecki był tak łaskaw pożyczyć mi go na czas jakiś do przejrzenia, za co publiczne mu wynurzam podziękowanie.

Tom ten nosi napis następujący:

Tomus Tredecimus epistolarum legationum responsorum et

rerum gestarum Serenissimi Principis Sigismundi primi Regis Polonie et Magni ducis Lituanie. Continet annum domini 1531.

Oprawa tego tomu pierwotna z herbem (Bogoryja) i cyframi Górskiego (S. G. C. C.) Na karcie tytułowéj herb Stanisława Karnkowskiego (Junosza.) Po rozproszeniu bibljoteki Karnkowskiego, posiadał ten tom w środku w. XVII. A. Łącki G. D. C. (Andreas Łącki Gnesnensis Dioecesis Cancellarius, herbu Jelita.) W drugiéj połowie zeszłego wieku znajdował się w bibljotece Załuskich. Po upadku kraju i zabraniu księgozbioru Załuskich dostał się, niewiadomo jakiemi drogami, do bibljoteki kasztelana Bielińskiego, a z tąż przeszedł w posiadanie p. Zygmunta Czarneckiego.

Kart jest 209; dokumentów 185.

Po karcie 116 następuje mylnie k. 118; k. 121 dwa razy liczono, a zamiast k. 165 stoi mylnie 155. Karta 209 biała; następujących po niéj kart kilkanaście wydarto.

Na k. 79 i 80 znajdują się notatki obcéj ręki — zdaje się Załuskiego.

Charakter pisma i znak wodny (1) — jak w drugich tomach. Rękę Górskiego spotyka się na kilku miejscach.

Od k. 162—171: Victoria de Valachis Sigismundi primi regis Polonie anno 1531. Descripta ex commentariis Stanislai Gorski Canonici Cracouiensis; a obok tego tytułu na marginesie napisał Górski własną ręką: Stanislaus Gorski Canonicus fecit.

Ztąd wynika, że fol. 113 przytoczone w rękopiśmie Karnkowskiego jest mylne, że należy czytać fol. 163 a z tym upada nasze przypuszczenie, jakoby rękopism lipski przez Ksaw. Liskiego opisany, mógł być oryginałem.

Co się tyczy „conciones in maximo tocius regni Polonie conuentu apud Leopolim de Republica habite 1537, nadmienić mi wypada, żem inny rękopism tychże odkrył w biblijotece nawrzyńskiéj; (nr. 4 zbioru rękop.) Jest to rękopism in fol., na początku XVII. „per me Georgium Tomicki mp.“ pisany; zawiera różne dokumenta z w. XVI i XVII (do r. 1616); pomiędzy niemi znajdują się także conciones, lecz nie są kompletne; jest na 10 kartach ledwie czwarta część tychże. Tekst różni się nieco od tekstu w Kod. Sap. a zbliża się bardziéj do tekstu drukowanego, z tą zaś różnicą, że jest kompletniejszy i poprawniejszy.

W tymże rękopiśmie znajdują się jeszcze dwie ciekawe a mało znane prace Filipa Padniewskiego, biskupa krakowskiego; są to:

Petri Gamrati Archiepiscopi Gnesnensis et Episcopi Cracouiensis vita. Autore Padnieuio; 6 stronnic, oraz Petri Tomicij Vicecancellarij Regni et Episcopi Cracouiensis vita. Padnieuio epo. Crac. autore 15 stronnic.

Warycz, dnia 18 Czerwca r. 1871.

Dr. Kętrzyński.

TEORJE POLITYCZNE XVI WIEKU

skreślił

Dr. W. M. Olendzki.

Wstęp.

Pogląd na spory polityczne w wiekach średnich.

(Ciąg dalszy.)

§ VI.

Nauka polityczna, jak z powyżéj powiedzianego łatwo poznać można, w wiekach średnich prawie zupełnie nie egzystowała. Pogarda życia, jaką wyrobił Chrześcijanizm, wstręt do organizacji państwowéj, jaki leżał w naturze ludów Germańskich, odjęły wszelkie elementa niezbędne do nadania spółeczeństwu treści i formy stanu politycznego, do utrzymania i kontynualnego rozwoju jego życia. Dodajmy do tego, iż w samym zaraz zarodku znajduje państwo w papieżu, tym reprezentancie najgwałtowniejszéj, wszystko naówczas rostrzygającéj potęgi, nieubłaganego wroga; a będziemy mieli jasne pojęcie losu jaki mu groził, jakiemu jednak, dzięki silniejszemu nad wszystkie materjalne potęgi wszech-duchowi świata, ujść musiał i uszedł. — Na zakończenie niniejszego wstępnego działu zastanówmy się chwilę nad tą walką.

Od samego zawiązku i zaludnienia świata, wiedzeni naturalną koniecznością, ludzie tworzyli państwa i właściwe częściom ich składowym, odpowiednie rozumnie, powszechnie uznanéj potrzebie urządzenia i zasadnicze normy, które istniały niezależnie od zasad objawionych przez przyszłego w tysiące lat późniéj Chrystusa i od nich zatem żywotnéj siły otrzymać nie mogły. Wreszcie, jak to już powiedzieliśmy, i jak powszechnie jest wiadomo, celem wzniosłych zabiegów Chrystusa nie było organizowanie życia zewnętrznego, w jakiéj kolwiek bądź formie jego bytu, lecz po prostu ukazanie każdemu pojedyńczemu człowiekowi, iż oprócz surowych stosunków do świata i materjalnych interesów, zostaje on jeszcze w stosunku do samego siebie, do tego nieśmiertelnego wewnętrznego ja, które będąc autorem jego czynów, źródłem jego poczuć, od nieskazitelnej czystości tychże, zbawienia swego oczekuje. Przepisem miłości objęta względność i sprawiedliwość w stosunku do bliźniego, przepisem pokory objęte umiarkowanie i skromność w dobréj, a cierpliwość w złéj doli, jako następstw starcia się ze światem fizycznym, oto droga do zbawienia, jaką Chrystus zaleca, oto aż nadto wystarczające najgorliwszym nawet siłom zadanie, jakie on następcom swoim przekazał. Nauczać, nawracać, słowem na przekonanie działać, aby wewnętrzny, w piersiach pojedyńczych ludzi zawarty świat, uszlachetniać, nakazał Chrystus, nie zaś torturami ciało trapić a w sercach wzniecać fałsz i pożar zemsty. Czyż choć jedném zdrowo i uczciwie pojętem słowem upoważnia Chrystus do zamachów stanu, jakich się następcy Piotra dopuszczali? Czy choć jedna objawiona przez Niego zasada głosi panowanie nad ciałem, lub poniżanie państwa i zawisłość jego od kościoła?

Bezwątpienia nie! Zkąd że powstały dzikie pretensje Papiestwa wywyższania się nad wszelką władzę cywilną? Możeż być, iżby papież odłożywszy chwilowo na stronę charakter swój duchowny, w roli zwierzchnika osobnego udzielnego państwa jak król wojnę królom wypowiadał? Nie! Ponieważ: 1° dopiero po zwycięztwach Grzegorza VII. i Alexandra III. t. j. w lat około 300 po wyjawieniu piśmiennych pretensji, a w lat przeszło 100 po faktycznie rozpoczętéj walce, kiedy państwo stanęło na szczycie potęgi, a wiara w jego nieomylność została ustaloną, Innocenty III. w roku 1198 zostaje de jure et facto panującym monarchą [1]) 2° ponieważ

[1]) Darowizna Konstantyna W. nie była nadaniem udzielnego terytorjum, lecz po prostu ofiarą kilku domów z gruntami leżącemi w Rzymie i pod Rzymem, jak to, w 1515 r. ku wielkiemu zgorszeniu papieża, w Bolonji, przez Ulricha von Hütten znaleziony i zaraz publikowany rękopism Laurencjusza Valli p. t. „de falso credita et emendita dotatione Constantini“ już naówczas wykazał. — Z darowizny Pepina otrzymał papież tylko dominium utile z powierzonych mu terytorji i był z tego powodu Wazalem francuzkim a potem cesarzy niemieckich, bez których pozwolenia aż do XII w. żaden papież wybranym być nie mógł.

nad 300,000 kapturowéj, boséj i żebrzącéj milicji, tego polipa obejmującego świat milionem ócz i rąk, nie miał papież żadnego zbrojnego zastępu, tak że do wojny z nieposłusznym Cesarzem, trzeba było jure caduco niszczyć wykonaną przez poddanych przysięgę wierności, a nadużywszy ślepoty, tysiące rąk w bratobójcze uzbroić oręże.

Jakież są zatem motywa, upoważniające papieża do uważania się za zwierzchnika królów i sędziego w sprawie tychże z poddanemi, lub własną rodziną? — Na pytanie to jednem można odpowiedzieć słowem — uzurpacja. Pretensje papieztwa zaczynają się od czasu zapoznania jego właściwego zadania, od czasu kiedy umiarkowanie zastąpione zostało chciwością, a pokora pychą.

Pierwiastkowo był papież jednym z 5ciu patryarchów równym każdego z nich, lecz że rezydencja jego Rzym, była prawdopodobnie miejscem ostatniego pobytu Apostoła Piotra, więc zaczął się nazywać jego następcą, nabyte z tąd znaczenie powiększone zostało znacznemi bardzo, w różnych okolicach leżącemi, posiadłościami i zakładaniem licznych kościołów, z tąd wpływ, rozgłos i używania na sędziego w sporach, zachodzących nawet w gronie rodzin królewskich. Synod prowincjalny w Sardica w r. 344 i dekret Walentyna III. z r. 445 robią papieża Prymasem i najwyższą władzą duchowną. Nieporządki polityczne we Włoszech i Francji, częste odwoływania się do zdania papieża, do tyła go rozzuchwalają, iż w połowie IX w. Mikołaj I. każe się koronować, a w tymże czasie sfałszowane w Moguncji Dekretalia Izydora i listy Klemensa I. formułują politykę przyszłości. —

„Królowie i wszyscy ludzie mają podlegać księżom i schylać przed nimi głowę“ jest tam powiedziano, a nadto „król, sędzia i każden człowiek, bez względu na stan, ma być pozbawiony swego urzędu i stanowiska, jak skoro występuje przeciw tym dekretom powagi Apostolskiej [1]) — Artykuły mówią same za sobą, niedość jednak tego. Arcybiskup Reimski Himmar w tym samym czasie pisze: „księża są tronem Boga, przed nimi winien być sądzony niesprawiedliwy i niewierny król jawnie, lub sekretnie“ Himmar stawiając rozróżnienie pomiędzy królem a tyranem, rozróżnienie nie dające nigdy postawić ścisłéj granicy dla chcącego źle rzecz tłomaczyć, ma na celu utwierdzić mniemanie, iż król nie jest osobą nietykalną [2]). Rozróżnienie to potwierdza współczesny papież Mikołaj I. w posłaniu swem do biskupów: „Uważajcie pilnie, mówi on, czy królowie panują według prawa, jeżeli nie, to należy ich uważać nie za królów lecz za tyranów.“ — Taki to był początek wielkich sporów korony z tjarą, jakie w IX w. napotykamy. Forma tego pierwszego wystąpienia w interesie dobrych praw ludu przeciw nadużyciom panujących, łudzić nas pozornie i sympatje nasze zdobywać może, nie myślemy też bynajmniéj przeczyć, iż obawa interwencji papiezkiéj wielu nieumiarkowanym żądzom panujących kres położyła, lecz zarazem nie należy zapominać, iż interwencja ta miała zwykle miejsce w interesie partykularnym, stającym nietylko na zawadzie prawom zwierzchności, nietylko interesom całości organicznéj państwa, ale ścisłemu zjednoczeniu się w jednolity organizm, luźnie tylko naówczas powiązanych, prowincji, księstw i miast, o które to połączenie dynastja Franko-salicka i Hohenstaufen przedewszystkiem się starały. Przypuściwszy teraz ewentualne zwycięstwo pod pozorem interesów sprawiedliwości walczącego papieztwa, mimowolnie robimy sobie pytanie, jaki by też był stan życia społecznego pod rządem Decretaliów? Jakiéj to wolności używało by nasze sumienie, jak daleko zaszły by poszukiwania prawdy naszego ducha pod opieką tkliwych i liberalnych Inkwizytorów, pod administracją płacących palium, a ściągających świętopietrze i tureckie grosze, biskupów?

Całe bogactwo nagromadzonych zasobów ekonomicznych, wszelkie zdobycze cywilizacji jakiemi się dziś cieszymy, i jakie codziennie powiększamy, zawdzięczamy zorganizowaniu sił społecznych w państwie nowoczesnem. Takiéj to organizacji stał papież w wiekach średnich na przeszkodzie, takiemu to państwu starał on się gwałt zadać, i dla tego sympatje nasze po stronie zbrojnego papieztwa stać nie mogą i nie powinny. Wezwany na pomoc, przez panujący w ziemiach Saskich dom Nordheim, bierze papież Grzegorz VII. jego stronę w niesłusznéj sprawie z cesarzem Henrykiem IV. aby, wypowiedzianą na lat 200 przedtym w Dekretaliach groźbę, wykonać na osobie Cesarza. Cały przebieg sprawy, jak również zawziętość papieża, który, mimo Canossy, nawet śmiertelnym zwłokom cesarza nie przebaczył, znajomą nam jest z historji. Tutaj zanotować tylko mieliśmy wrażenie, jakie ta pierwsza praktyka na duchownych nawet umysłach wywarła. Osłupiałe z przerażenia i grozy książęta na żadne właściwe wystąpienie zdobyć się niemogli, lecz co dziwniejsza, kler niemiecki mimo trjumfu swego naczelnika pełen oburzenia głos podniósł i zaprotestował. W protestacji téj [1]) duchowieństwo apostrofuje papieża w bardzo ostry sposób. „Panuje on (papież) w swym Babilonie, piszą księża niemieccy, wynosząc się nad wszystko i wszystkich, jakby był samym Bogiem, utrzymując zuchwale iż się mylić nie może. Rozwiązuje ludzi nie z grzechu lecz z przykazań Chrystusa i z przysięgi. Słowa swe nazywa prawem, zapominając iż Bóg powiedział: „kto wojuje mieczem, od miecza zginie.“

(Ciąg dalszy nastąpi.)

[1]) Pseudo-Isidorus — Epist. I., i przywilej monasteru Św. Medarda.

[2]) Dienat aliqui sapientes, quia ista princeps rex est, et Nullorum legibus, vel judicis subjacet, nisi solius Dei... Haec vox non est Catholici Christiani, sed blasphemi. Himmar — de divortio — op. p. 693—697. —

[1]) Soldast. Apolog. pro Imp. Henr. IV adv. Greg. VII.

POKŁOSIE.

W Warszawie wydał Bronisław Roman Przyrembel dziełko p. n.: „Pogląd na kwestję ludowéj oświaty“; —

Dr. Robiński, autor licznych rozpraw lekarskich, ogłoszonych w językach polskim, francuzkim, łacińskim i niemieckim, przygotowywuje do druku nową tego rodzaju pracę p. n. „Saccharum Saturni... bei Bronchialblutungen.“

Franciszek Prawda wydał w Pradze dramacik czeski dla młodzieży p. n. „Král liliputański“, ze śpiewkami Wacława Kratochwila. —

W języku serbskim wyszły w najnowszym czasie: Elementarz polityczny, Pobratymstwo i Nasza ziemia, trzy dzieła dla ludu. —

Znani serbscy strategicy Antić i Stokić wydali znakomite dzieło wojskowe p. n. „Nauka o wojnie.“

Mickiewicza „Konrada Wallenroda“ przełożył na język serbski Danilo Medić.

W Bukareszcie wychodzi od 1 czerwca pod redakcją Iwana Pohara nowe polityczno-belletrystyczne czasopismo „Jugoslavija“, które wzięło sobie za cel pracować nad duchowém i politycznem zjednoczeniem Serbów, Kroatów i Bulgarów.

Pod redakcją Hilferdinga wyszedł w Moskwie trzeci tom zebranych dzieł Chomjakowa, obejmujący historją powszechną; — E. Zamysłowskij wydał w Petersburgu pierwszy tom dzieła pod

napisem: „Panowanie Fiodora Alexiejewicza"; — **A. Pawlnskij** ogłosił Studjum: „Nadelbiańscy Sławianie w walce z Niemcami od XIII do XVI wieku." — **A. J. Garkow** wydał: „Wzmianki ottomańskich pisarzy o Sławianach i Rosjanach", — a **M. M. Michajłow** „Historję prawa rossyjskiego."

Wychodzący w Cieszynie „Zwiastun ewangeliczny" zamieszcza obecnie życiorys **Karola Henryka Bogackiego**, autora ogłoszonéj r. 1854 w języku niemieckim „Złotéj skarbniczki dziatek Bożych, których skarb w niebiesiech jest" Bogacki żył w pierwszéj połowie XVIII stulecia. — Księżna Emma **Schönaich-Carolath**, zwolenniczka Polaków i sprawy polskiéj, umarła w Wiedniu dnia 15go czerwca.

Józef Wacław **Vlásák**, autor czeski licznych pism dla młodzieży i gorliwy narodowiec, umarł dnia 16 czerwca w Lutomierzycach; — Jan **Kalincák**, wydatny powieściopisarz słowacki, ur. r. 1832, zmarł dnia 16 czerwca.

PYTANIA I ODPOWIEDZI.

Szanowny Panie,

Anonimem chce mi się zostać. Tajemniczość dodaje uroku najprostszym słowom i czynom. Jednakże, ażeby koloryt mego dowodzenia nie zdradził płci, wolę ją wykryć sama, — a tym sposobem stanąć jasno w obec rzeczy. Zapatruję się na postawioną przez kogoś w piśmie waszém w No. 26 kwestją IV., z kobiecego stanowiska. Jeżelim dobrze zrozumiała postawione pytanie, chodzi nie o to, czego braknie młodzieży Wielkopolskiéj do zupełnéj doskonałości, ale o to, jaki niedostatek wpływa na usposobienie, obyczaje i rodzaj życia naszéj młodzieży. Otóż jest nim zaprzeczenie, wedle mnie, brak towarzyskiego życia, w ogóle w Wielkopolsce, a w szczególności w Poznaniu mocno się czuć dający. Źle zrobiliście rozciągając wasze pytanie na ogół naszéj młodzieży — odnosi się ono najwyraziściéj do młodzieży Poznania i miast prowincyonalnych — o niéj będę więc mówić. Na wsi stosunek, jest o wiele odmienny. Nikt nie zaprzeczy młodzieży naszéj gruntowniejszego niż w innych prowincjach wykształcenia — większego procentu ludzi specjalnych na ogół, niż gdzieindziéj w Polsce, jednakże te przymioty czysto fachowe nie dają jeszcze całości człowieka. Pozostaje strona etyczna i estetyczna. Te bez odpowiedniego towarzystwa zacnych kobiet wyrobić w sobie bardzo trudno. Kobiety bowiem są owemi szlifierzami, które surowy djament charakteru, z nierówności oczyszczają, obdarzają blaskiem i nie miękcząc ani marnując, wartość jego podnoszą. Rzadkie są natury, w którychby wychowanie szkolne i życie nie zatarły w części pierwszych wrażeń i błogosławionego wpływu matki, w którychby ono nie naruszyło równowagi serca i rozumu, na korzyść tego ostatniego. Otóż tą równowagę tylko za pośrednictwem kobiet da się przywrócić. Ich towarzystwo łagodzi namiętność, rozbudza poczucie piękna i miłość sztuki, wciąga specjalistę w związek z resztą świata idącego innemi drogami, a duchowemu jego światu nadaje pewną harmonję i skończoność. To co do strony wewnętrznéj. Zewnętrzna mniéj znaczy i prawie zawsze konsekwentnie do tamtéj się wyrabia, jednakże przyzna każdy że giętkość i zręczność ruchów, swobodę aż do miękkości głosu tylko towarzystwo kobiet daje. — Młodzieży naszéj specjalnéj, gruntownéj najczęściéj pracowitéj, brak zupełnie pierwiastku towarzyskiego w życiu. Ztąd też praca prowadzi ją do zupełnego zmaterjalizowania się, a spoczynek do ogródka lub knajpy. O ile możności stronią od licznych towarzystw, a stanowczo od kobiet. Kochają je czasami, żenią się dosyć często— nie żyją z niemi i nie mówią prawie nigdy. Zobaczcie ich na zabawie! Ledwie porwali damę do tańca, okręcili i posadzili, jużci odbiegają. nie odemknąwszy ust nawet. Kadryl, ten taniec wynaleziony dla umiejących rozmawiać, zdaje się, że jest wykonywany przez głuchoniemych. Jeżeli jednak odważy się już przemówić który zdumiewajcie się nad bogactwem treści i zręcznością w utrzymywaniu rozmowy. Handel, stosunki miejskie, ploteczka najświeższa, czasami mdły i skręcony komplement oto wydatek rozmowy — która co raz pada plackiem na ziemię — i leniwo pełznie daléj. Sztuka, literatura, zagadnienia myśli i uczucia! o tych nic nie wiedzą, a nieświadomość, pokrywają ironicznym uśmiechem lub twierdzeniem; że rzeczy te dla pozytywnych ludzi zbyteczne. A biada pannie, coby się ośmieliła kilka razy podobne temata wprowadzić. Cały arsenał wyrazów, zawierających w sobie, wedle naszéj młodzieży, nieodwołalną naganę, spadnie na nią! Egzaltowana, poetka! przewrócone w głowie — sawantka! wielki Boże, excentryczna!!...

Do takiego sądu i stanu brak życia towarzyskiego doprowadził naszą młodzież. A gdzież przyczyna tego braku! Dają u nas pikniki, na których bywa po sto sztywnych osób, dziwujących się pięknym pannom, pięknym galonom, pięknemu fortepianowi i rozchodzących się po to, ażeby za tydzień się znowu dziwować. Tam dla naszéj młodzieży, szczególniéj z warstw pracujących a więc przeważnych, ani miejsca ani pożytku nie ma. Dają wieczorki literackie — namaszczone powagami od dołu do góry, zamknięte w ciasném kółeczku ludzi patentowanych — dają wreszcie bale — ale one żadnego wpływu mieć nie mogą. — Ten wpływ mogą mieć tylko zebrania towarzyskie, że tak powiem familijne, do którychby przypuszczano obcą młodzież, na prawach ludzi przynoszących zabawę i od których żąda się tylko, żeby nie kwasili towarzystwa. Żadnéj arière pensée!... Tymczasem tych kółek prawie nie ma, a jeśli są, to na progu takich Hesperyd czeka smok okrutny, strzegący słodkich jabłek. Tym smokiem matrymonjalne projekta! — Oprócz kuzynków bywać mogą tylko ci, z których coś będzie — ludzie potrzebni — projekta na mężów dla córek — siostrzenic i t. d. Utylitaryzm przedewszystkiém! — Wybrani tacy muszą mieć koniecznie jasną i dającą dochód pozycję. Otóż, rzecz okropna, — na 100 młodych 80 dopiero téj pozycji się dorabia — i ci nieodwołalnie od słodkich przywilejów towarzystwa są wyłączeni. A tych 20 na sto są bardzo rozrywani!... Ztąd żadnéj korzyści a wszelkie szkody z towarzystwa mają. Wszędzie przeczuwają zasadzkę — Plotka idzie w ślad za nimi — a Skandal czyha zaczajony. Zrażą się, uciekają i innych trwożą. Taka jest genesis braku życia towarzyskiego u nas. — Otwórzmy raz przecie domy, w miarę możności, dla młodzieży — bez wstecznéj myśli, bez ukrytego zamiaru, zróbmy rodzinne życie odpoczynkiem i akademją charakterów dla ludzi młodych, stawmy jasną i spokojną twarz komerażom i plotkom — a damy piękną rolę kobietom naszym, które rozbudzą w młodzieży poznańskiéj rzadko już tlejącą iskrę uczucia, sztuki, — a nawet głębokiéj, niedbającéj tylko o formy religji. Będzie wtedy więcéj małżeństw utworzonych niechcący — a szczęśliwszych — więcéj ciepła i młodości w około nas, a może pod ich promieniem i sztuka i poezja, dziś exotyczne u nas, z Wielkopolskiego gruntu wykwitną.

Helena ***

VI. Co panie poznańskie najwięcéj lubią?
VIII. Zkąd to pochodzi iż młódź nasza tak zmaterjalizowana?

Skrzynka do listów.

P. J. Glinkiewiczowi w Toruniu serdeczne zasyłamy Bóg zapłać, prosząc o łaskawą o nas pamięć.

X. Cz... w Antwerpji: Odebraliśmy z podziękowaniem.

P. Krukro: Na nieszczęście „Życzeniom" jego zadosyć uczynić nie możemy.

X. Sw. w K.: Wysyłamy Panu żądany numer, nadmieniając, iż, jeżeli egzemplarze pisma naszego nie dochodzą, jest to winą poczty, która regularnie, najpóźniéj w piątek Tygodnik odbiera.

Szanownemu anonimowi, który nam przysłał 3 zapytania: Prosimy na wszelki przypadek przygotować odpowiedzi i przysłać je. Jest cały tydzień czasu.

Odpowiedzialny redaktor i nakładca Edmund Callier. — Czcionkami drukarni Ludwika Merzbacha w Poznaniu.